

niewielkie wzmianki, to ich treść była niejasna bądź mocno zakamuflowana, albo wypisywano bzdury o nic nie znaczących starciach z udziałem buntowników. W gazetach pojawił się natomiast królewski uniwersał przestrzegający przed udzielaniem pomocy i łączeniem się z powstańcami. Kontroli i rewizjom podlegały wszystkie osoby przybywające do Warszawy, specjalnie wyznaczeni oficerowie skrupulatnie badali pocztę, wszystko po to, aby wychwycić emisariuszy Kościuszki i przeciwdziałać szybko postępującej odbudowie organizacji spiskowej. W domach i na warszawskich ulicach i placach zagościła ponura atmosfera strachu i nerwowego wyczekiwania. Nagłą odmianę nastrojów przyniósł 8 kwietnia, dzień, w którym do Warszawy dotarły wieści o bitwie pod Raclawicami. W jednej chwili stolica jakby odżyła, a dotychczas pewny siebie Igelström wykonał gest sympatii wobec prezydenta miasta i zaczął nagle poszukiwać bliskiego porozumienia z królem. To akurat nie było zbyt trudne. Władcy Rzeczypospolitej nie uśmiechało się bynajmniej zwycięskie powstanie niosące ze sobą nieuniknione zmiany wewnątrz państwa. Stanisław August, przerażony losem zgilotynowanego Ludwika XVI i w obawie przed podziałem jego losu, gotów był na wiele, aby taką ewentualność usunąć. Strach przed powstaniem i zamiar instrumentalnego potraktowania polskiego monarchy spowodował, że Igelström nieopatrznie wpadł w pułapkę. Uległ bowiem usilnym prośbom Stanisława Augusta i zgodził się na sprowadzenie do miasta pułku ułanów z Kozienic, na których bezgraniczną wierność liczył monarcha. Miał się jednak srodze na nich zawieść, pomimo obsypania podkomendnych pułkownika Königa cennymi podarunkami w postaci

gratyfikacji pieniężnych i zegarków. Ułani poważnie zasilili inne polskie oddziały stacjonujące w stolicy — X regiment piechoty szefostwa Działyńskich w sile 600 bagnatów, regiment gwardii pieszej liczący 950 ludzi, pułk gwardii konnej koronnej w liczbie 364 kawalerzystów, ale jedynie niewiele ponad sto koni, a także kilka innych oddziałów, w tym ponad 250 artylerzystów i jednostki wypełniające zadania policyjne. Najciekawsze było to, że król głęboko wierzył w ich lojalność, zachowania ułanów w przypadku wybuchu walk nie był pewien Igelström, zaś oni sami, oficerowie i prości żołnierze, niemal jak jeden mąż byli gotowi poprzeć insurrekcję i wziąć w niej czynny udział. Zapewne na ich postawę miała wpływ wspomniana już redukcja armii, co dla większości wojaków oznaczało znalezienie się na bruku; powstanie gwarantowało pozostanie w jej szeregach. Zresztą wielu ze zredukowanych żołnierzy zostało ukrytych przez kolegów w koszarach i z upragnieniem czekali na wybuch walk. Atutem Igelströma, poza królem, byli targowiczanie na czele z piastującym najwyższe stanowiska w polskiej armii hetmanem wielkim koronnym Piotrem Ożarówskim, nominalnym dowódcą garnizonu warszawskiego, człowiekiem zaprzędanym Rosjanom i nawołującym do rozprawy z „burzycielami spokojności publicznej”. Jakby przeciwważką dla niego miał się okazać generał Jan August Cichocki. Postanowił on nie opowiadać się po żadnej ze stron, dopóki sytuacja w Warszawie w sposób dostateczny z jego punktu widzenia się nie wyklaruje. W rękach Cichockiego spoczywał niebagatelny atut; pod jego komendą pozostawała bowiem załoga prochowni i arsenału, dwóch miejsc o strategicznym znaczeniu w przypadku wybuchu rewolty. Ten, kto

dysponuje wielką ilością uzbrojenia i z tego powodu przedstawia oczywistą wartość dla obu stron, może sobie pozwolić na wybranie stosownego momentu do wyłożenia kart na stół — tak w każdym razie myślał generał Cichocki. Igelström nie miał wiele czasu na opracowanie precyzyjnych planów przeciwdziałania insurekcji, ale wykazał się energią i odwagą, na jakie niewielu ludzi na jego miejscu byłoby się w stanie zdobyć. Popęłnił jednak poważny błąd, wysyłając Chruszczowa nad Pilicę, przez co osłabił swoje siły w Warszawie. Krok ten wynikał ze zlekceważenia niebezpieczeństwa ze strony ludności Warszawy, ewentualnie wspartej nawet przez regularne polskie oddziały. Ani Igelström, ani żaden z rosyjskich dowódców nie spotkał się jak dotychczas z masowym wystąpieniem uzbrojonej ludności i nie toczył walki w warunkach miejskich. Nikt z nich nie był też w stanie wyobrazić sobie, jak krwawa i okrutna może to być konfrontacja. Przyjmując ostatecznie plan walki w mieście, podzielono je na trzy główne rejony, zaś główne założenie przewidywało szachowanie polskich jednostek i ścisłe blokowanie centrum z zachowaniem kontroli nad arsenałem. Nie zdało się to jednak na nic. Ma zupełną rację Zahorski, kiedy stwierdza: „W tej sytuacji Igelström, który nie pojmował, jak szerokie zaplecze społeczne posiadają sprzysiężeni w Warszawie, musiał ponieść klęskę”. Tym bardziej tak się musiało stać, że pacyfikacji miasta — poprzez otoczenie kościołów wypełnionych wiernymi, zajęcie arsenału i aresztowanie spiskowców — gubernator postanowił dokonać w Wielką Sobotę 19 kwietnia. Wcześniej, jakby nie zdając sobie sprawy z zagrożenia, nakazał Radzie Nieustającej wezwać przed sąd sejmowy powstańczych przywódców.

Jednak Stanisław August i członkowie Rady nie zamierzali już odpowiadać na każde zawołanie Igelströma, którego wszechwładza być może właśnie dobiegała kresu. Król awiesił posiedzenie Rady i nawet brutalna presja, jakiej zostali poddani jej członkowie i monarcha, nie pozwoliła ambasadorowi zrealizować tyleż spóźnionych, co nierealnych zamysłów. Szczury opuszczały tonący okręt, ale dla wielu było już zbyt późno, aby uratować własną skórę. Decyzja ambasadora okazała się dla rosyjskiego garnizonu i polskich renegatów fatalna. Wiadomości o zamiarach Igelströma przedostały się bowiem do sprzysiężonych i spowodowały wyprzedzający wybuch powstania w Warszawie. Zaskoczył on zarówno Rosjan, jak i targowiczán, których wielu nie zdołało na czas opuścić miasta. 17 kwietnia nad ranem stolica stanęła w ogniu walk. Towarzyszył temu chaos, gdyż po polskiej stronie zabrakło jednolitego dowództwa, a na czele mieszanych grup złożonych z żołnierzy i ludu stanęli młodzi oficerowie artylerii. Niemal wszystkie regularne polskie oddziały, poza częścią wyższych oficerów, opowiedziały się przeciwko Moskałom, a jako pierwsza uderzyła na nich w rejonie Żelaznej Bramy i ulicy Chłodnej gwardia konna koronna. Na centralną postać wydarzeń wśród cywilnych powstańców wyrósł szewc Jan Kiliński, wcześniej jeden z głównych spiskowców przygotowujących warszawską insurekcję. To on dowodził na Starym Mieście, gdzie ludność masowo przystąpiła do walki, zabijając dziesiątki Rosjan. Barwny opis udziału mieszkańców w walkach, stanowiący jednocześnie hołd dla ich poświęcenia i odwagi, pozostawił Niemcewicz: „Kilkugodzinny bój krwawy, nieustanny huk dział, widok trupów moskiewskich zacieśniających ulice

ośmielił już i spokojnych mieszczan z rzezią i śmiercią; jedni więc biegli do szturmu domu Igelströma, drudzy pojedynczo napadali na uciekających Moskali, kobiety nawet porwawszy fuzje mężów z okien strzelały do kanonierów moskiewskich i tym niejedno ich działo do milczenia zmusiły. Hoża pani, gdy już trupem niejednego położyła Moskala, osiągnięta na koniec kulą moskiewską w oknie, na zawsze piękną swą głowę zwiesiła”. Początkowo członkowie magistratu usiłowali powstrzymać walkę, ale widząc, że żadne apele nie odnoszą skutku, na czele z prezydentem miasta Andrzejem Rafałowiczem poszukali schronienia na Zamku Królewskim. To samo uczynili Ożarowski oraz Cichocki i kilka innych znanych osobistości. To jednak nie było bezpieczne miejsce. W pewnym momencie król i jego niezbyt pożądanymi goście pozostali bez jakiegokolwiek ochrony, gdyż żołnierze pełniący wartę na Zamku porzucili ją i poszli walczyć z Moskalami. Zaraz potem w zamkowych salach pojawili się insurgenci, gorączkowo poszukujący jakiegokolwiek broni. Jednak nikomu nie spadł włos z głowy i straszny scenariusz, którego tak bardzo obawiał się Stanisław August, na razie się nie spełnił. Igelström, który przeznaczył sobie rolę myśliwego, szybko stał się osaczoną zewsząd zwierzyną. Rosjanie usadowili się silnie w pałacu Krasieńskich, ale otoczeni z wielu stron pałającym nienawiścią i walczącym z zapalczywością tłumem stopniowo zaczęli się wycofywać z zajmowanych pierwotnie pozycji ku centrum oraz w kierunku ulic Długiej i Miodowej, gdzie znajdowała się siedziba gubernatora. Szybko zaczęła się zarysowywać wizja jej zupełnego otoczenia i likwidacji zamkniętych w okrążeniu wojsk. Jeden z ich oddziałów

wyrąbał sobie drogę poza mury i przedarł się do stojących nieopodal Warszawy Prusaków. Ci jednak, poza niewielkimi ruchami wojsk, nie uczynili niczego, aby wesprzeć Moskali. Przełom w walkach przyniosło wejście do akcji Działyńczyków, którzy z powodu zachowania ich niechętnego powstaniu dowódcy wsparli mieszkańców dopiero po godzinie ósmej. Wspólnie z nimi rozgromili oddziały generała Miłaszewicza, strzegące arterii od Ujazdowa po Krakowskie Przedmieście. Na prowadzącym ku Zamkowi Królewskiemu trakcie doszło wówczas do zaciekłych walk. Padła w nich niemal połowa Działyńczyków. Równie istotne znaczenie, jak bój w samym centrum miasta, miało odparcie przed wieczorem idących z odsieczą Igelströmowi oddziałów generała Iwana Nowickija. Starcie, w którym uczestniczyli w ogromnej większości cywile, miało wyjątkowo krwawy charakter. Po odwołaniu Nowickija stało się oczywiste, że gubernator i otoczone zewsząd, będące u jego boku jednostki są skazane na klęskę. On sam miał niewiele ponad tysiąc żołnierzy i osiem armat i był zupełnie pozbawiony kontaktu z oddziałami walczącymi w innych rejonach miasta. Z pomocą przedarł się do jego kwatery na czele trzystu żołnierzy jedynie major Wasyl Titow, ale to niewiele poprawiło sytuację Igelströma.

Epilog walk o Warszawę nastąpił 18 kwietnia. Igelström, prowadząc przebojem kolumnę złożoną z 700 żołnierzy, zdołał przebić się przez polskie siły najpierw ulicą Świętojerską, a potem Franciszkańską i Bonifraterską. Sypały się na nich zewsząd pociski, ale Rosjanie z nadzwyczajną odwagą, gęsto przy tym padając trupem, torowali sobie drogę ku zbawczej bramie. Doskonale wiedzieli, że albo zdołają

się wyrwać z kotła śmierci, albo wszyscy zostaną bezlitośnie wyrżnięci. Znacznej części żołdatów udało się uratować życie. Po wyjściu z miasta znienawidzony ambasador oddał się pod opiekę Prusaków. Był wstrząśnięty krwawą łaźnią, jaką jego rodakom sprawili warszawiacy. Mniejsze oddziały Rosjan poddały się lub zostały wybite, w całości uratowała się tylko trzystuosobowa załoga Pragi, sprawnie przeprowadzając odwrót w kierunku Nowego Dworu. Warszawska insurekcja przyniosła Moskałom największą porażkę w całym powstaniu. Niemal 4,5 tysiąca ich żołnierzy i oficerów poległo bądź dostało się do niewoli. Niektórzy z nich ponieśli wyjątkowo niehonorową i mało żołnierską śmierć z rąk rozszerezonego tłumu. Ale i Polacy zapłacili wysoką cenę za zwycięstwo, które dodało animuszu powstańcom nie tylko w Warszawie, ale w całym kraju, oddając w ich ręce dużą ilość broni i sprzętu wojskowego oraz ogromnie podnosząc morale. Padło około 700 cywilów, dwa razy więcej odniosło rany. Straty w regularnych polskich oddziałach sięgały natomiast od 30 do 50 procent ich stanów wyjściowych. W praktyce oznaczało to konieczność zupełnej reorganizacji niezdolnych do dalszych działań jednostek.

Nazajutrz po ucieczce Igelströma w Warszawie powołano do życia Radę Zastępczą Tymczasową na czele z powołanym, a właściwie przywróconym na urząd prezydenta miasta Ignacym Wyssogotą Zakrzewskim (był nim w kwietniu i maju 1792 roku, ale prezydentury pozbawili go targowiczanie), zaś nominację na komendanta sił zbrojnych Księstwa Mazowieckiego wraz z Warszawą uzyskał generał major Stanisław Mokronowski. Jedne z pierwszych zarządzeń dotyczyły wprowadzenia spokoju w mieście oraz



General wojsk polskich Stanisław Mokronowski,
uczestnik insurekcji kościuszkowskiej.
Litografia XIX-wieczna, autorstwa Louisa René Letronne'a.

ukrócenia gwałtów i rabunków, którym sprzyjało przejęcie dużej ilości broni przez lud; tego zaś, do czego ona może posłużyć, umiarkowana w swoich poglądach Rada obawiała się bardziej niż Moskali. Ponadto w szeregach powstańców walczyli bynajmniej nie sami bezinteresowni patrioci, jak zawsze w podobnych sytuacjach znalazło się w nich wiele najzwyczajszych hien i przestępców korzystających z okazji do szybkiego wzbogacenia się. Zabezpieczono rosyjskie magazyny i wydano restrykcyjne przepisy mające powstrzymać falę przestępczości. Jednocześnie powstańczy rząd postanowił dokonać przymusowej rekrutacji „z klasy ludu luźnego” oraz na zasadzie dobrowolności z „klasy rzemieślniczej lub ludzi służbą obowiązanym” i powstałe w ten sposób bataliony konne i piesze — liczono na pozyskanie 6 tysięcy żołnierzy — skoszarować na przedmieściach. Byłyby to klasyczne dwie pieczenie przyrządzone na jednym ogniu. Z jednej strony Warszawa pozbyłaby się niespokojnych i podejrzanych elementów, z drugiej zaś — uzyskałaby zabezpieczenie przedpoła od strony Woli i Marymontu, gdzie zamierzano skierować nowo utworzone oddziały. Jednocześnie chciano uzupełnić regularne jednostki, wcielając do nich część ochotników mających wcześniej kontakt z bronią i wojskiem. To właśnie na ich rozbudowie najbardziej zależało Radzie Zastępczej i Mokronowskiemu. Ale planowanych etatów nigdy nie udało się osiągnąć. Pobór prowadzony poza stolicą odbywał się z oporami i mocno rozmiął się z oczekiwaniami. Stosunkowo najlepiej wyglądała sprawa z pułkiem artylerii; do jego stworzenia przykładano wyjątkowe znaczenie ze względu na znaczny park artyleryjski, którym dysponowała Warszawa; w praktyce

w jej zasobach pozostawały niemal wszystkie działa będące w dyspozycji wojsk powstańczych. Jednak i w tej formacji wystąpiły wyraźne braki ilościowe. Z zakładanego stanu 1668 ludzi mających stworzyć dwanaście kompanii do służby przyjęto zaledwie 1355 artylerzystów. W pozostałych rodzajach broni było jeszcze gorzej, zaś trudności związane z uzbrojeniem piechoty i kawalerii miały trwać przez cały okres powstania. Jeden z powodów takiego stanu rzeczy wynikał z faktu, że broń, która podczas insurekcji trafiła w ręce ludu, była zwracana z wielkimi oporami, a duża część zagrabionego oręża już w nich pozostała na zawsze. Wobec dotkliwego niedoboru broni palnej zastępowano ją bronią białą, wykorzystując na dużą skalę prostą i jakże skuteczną w użyciu kosę mocowaną na sztorc.

Poważny problem stanowił również brak koni. Znaczna część wolontariuszy, którzy zaciągnęli się do kawalerii, musiała porzucić myśl o walce z Moskalami z wysokości końskiego grzbietu i zadowolić się służbą w piechocie. Liczba żołnierzy garnizonu warszawskiego ciągle się zmieniała. Jedne jednostki się formowały, inne opuszczały miasto, aby zasilić wojska walczące w różnych rejonach kraju. W końcu maja miało go tworzyć jedynie około 6 tysięcy ludzi i 950 koni. To nie były siły, które mogłyby zapewnić Warszawie bezpieczeństwo i uchronić miasto przed atakiem z zewnątrz, wyprowadzonym chociażby od strony pobliskiego kordonu pruskiego rozciągającego się nad Narwią i na zachód od stolicy. Za osłonę linii rzeki był odpowiedzialny brygadier Dąbrowski, który wbrew obiekcjom Madalińskiego opowiedział się po stronie insurekcji i szybko dał się poznać jako utalentowany dowódca. Miał zakaz atakowania

Prusaków, chyba że po przekroczeniu przez nich Narwi. Ci jednak nie uczynili tego i doszło jedynie do słabej wymiany ognia z ostrzelanymi przez nich polskimi posterunkami. Tak jak od strony Narwi zagrażali Warszawie Prusacy, tak od południa zaczynało się rysować niebezpieczeństwo ze strony odbudowujących swoje siły Rosjan. Ich konsolidacją zajęł się Igelström, urządzając główny obóz w Łowiczu i dążąc do połączenia się z Prusakami. Mokronowski osłonił się oddziałami generała Haumana i wezwanego znad Narwi Dąbrowskiego. Aktywność polskich oddziałów, pozbawionych inicjatywy wojennej, ale umiejętnie reagujących na manewry przeciwnika, pozwoliła zabezpieczyć Warszawę i dużą część Mazowsza, stanowiących podstawę materialną powstania i największy w kraju rezerwuar rekrutów. Mokronowski od pierwszego dnia piastowania swojego urzędu, wsparty przez Radę Wojenną, położył nacisk na wzmocnienie warszawskich fortyfikacji, poddając renowacji te już istniejące i wznosząc nowe. Jak mądre to było posunięcie, miały dowieść wydarzenia z drugiej połowy sierpnia.

Wystraszony potężnie Stanisław August potrzebował aż pięciu dni, aby złożyć akces do powstania. Okazał się niepoprawnym recydywistą, gdyż zrobił to powodowany głównie strachem, podobnie jak przed dwoma laty, kiedy opowiedział się za targowicą. Wtedy kierowała nim obawa przed utratą tronu, teraz nabrała ona o wiele poważniejszego, wręcz egzystencjalnego wyrazu — przerażała go wizja śmierci. Monarcha niemal fizycznie czuł otaczającą go nienawiść ze strony ludu, który głośno mu złorzeczył i wyśpiewywał na jego temat obrzydliwe piosenki. Stanisław August doskonale wiedział, że podobnie na początku

rewolucji traktowano Ludwika XVI, potem Francuzi zamienili słowa na czyny i go zgilotynowali. Polski król drżał ze strachu, zdając sobie sprawę, że podobnie jak francuski pomazaniec przed ścięciem, on też jest podejrzewany o chęć ucieczki i zamiar współpracy z wrogiem. Takie narzucające się podobieństwa mogły kosztować go życie. Wystarczyło, aby przewagę wśród insurgentów uzyskali pożądanicy jego krwi radykałowie.

Informacje o wydarzeniach warszawskich zawarte w odręcznym piśmie Zakrzewskiego oraz dokument zatytułowany *Akces obywatelów i mieszkańców Księstwa Mazowieckiego do powstania narodowego* przywiózł wspomniany wcześniej Michał Sokolnicki do Igołomi. Naczelnik obawiał się, aby Rada nie zechciała uzurpować sobie przewodnictwa nad powstaniem, a jego niepokój zwiększył się jeszcze bardziej, kiedy dowiedział się, iż w jej składzie osobowym wyraźną przewagę mają konserwatyści. Szybko jednak — nie chcąc przysparzać sobie przeciwników — poskromił pierwszy odruch przemianowania Rady na Komisję Porządkową Stolicy i Księstwa Mazowieckiego, co oczywiście odbierałoby jej splendor wynikający z samej nazwy i sytuowało odpowiednio niżej wobec władz krakowskich. Wybrał o wiele bardziej finezyjny sposób na podniesienie swojej popularności i wzmocnienie pozycji w stolicy. Grad nagrób ze strony Naczelnika spadł na oficerów i prostych żołnierzy uczestniczących w walkach o Warszawę; ci pierwsi zostali awansowani o stopień i dowiedzieli się, że w przyszłości już tylko „bardziej zdatność niż dawność” będzie decydować o uzyskaniu wyższej szarży. To było doskonale posunięcie i przesłanie adresowane szczególnie do młodszych oficerów,

umożliwiający im wyprzedzenie w wyścigu o wojskowe splendory całą gromadę nieudaczników zawdzięczających szybkie wspinanie się po szczeblach kariery jedynie tzw. dobremu urodzeniu i majątkom. Nagroda dla żołnierzy okazała się skromniejsza, ale również miała swój wymiar, choć bardziej pozostający w sferze obietnic niż faktów. Każdemu z nich, po wykazaniu, „iż się znajdował w akcji”, Kościuszko przyrzekł osobiście wręczyć po dukacie. Trudno sobie wyobrazić, aby było to możliwe do spełnienia. Na wielu obietnica zrobiła jednak zapewne duże wrażenie.

W Wilnie na czele antyrosyjskiego spisku, mając u boku między innymi Karola Prozora, stanął energiczny komendant korpusu inżynierów litewskich, pułkownik Jakub Jasiński. Stało się tak trochę wbrew intencjom Kościuszki, który zamierzał powierzyć tę rolę marszałkowi Sejmowi Czteroletniego Kazimierzowi Nestorowi Sapieże, co stanowiło zupełnie nieprzemyślany wybór, a po jego odmowie — pułkownikowi Karolowi Morawskiemu, aresztowanemu w Brześciu Litewskim z odezwami i, co gorsza, z listami Naczelnika do grupy oficerów średniego szczebla zaangażowanych w powstańcze przygotowania. Dla niektórych z nich oznaczało to utratę wolności i zsyłkę. Mieli podzielić los kilkunastu litewskich spiskowców na czele z Ignacym Tyzenhauzem, których zatrzymano kilka tygodni wcześniej. Artur Śliwiński napisał w *Powstaniu Kościuszkowskim*, że „wdzięk bił od tej postaci i pociągał serca”, a Jasiński „miał w sobie dużo cech nieustraszonego rycerza”. Nie pozwolił na zniszczenie stworzonej przez siebie organizacji powstańczej ani dowodzącemu dwutysięcznym wileńskim garnizonem generałowi majorowi Nikołajowi Arseniewowi,

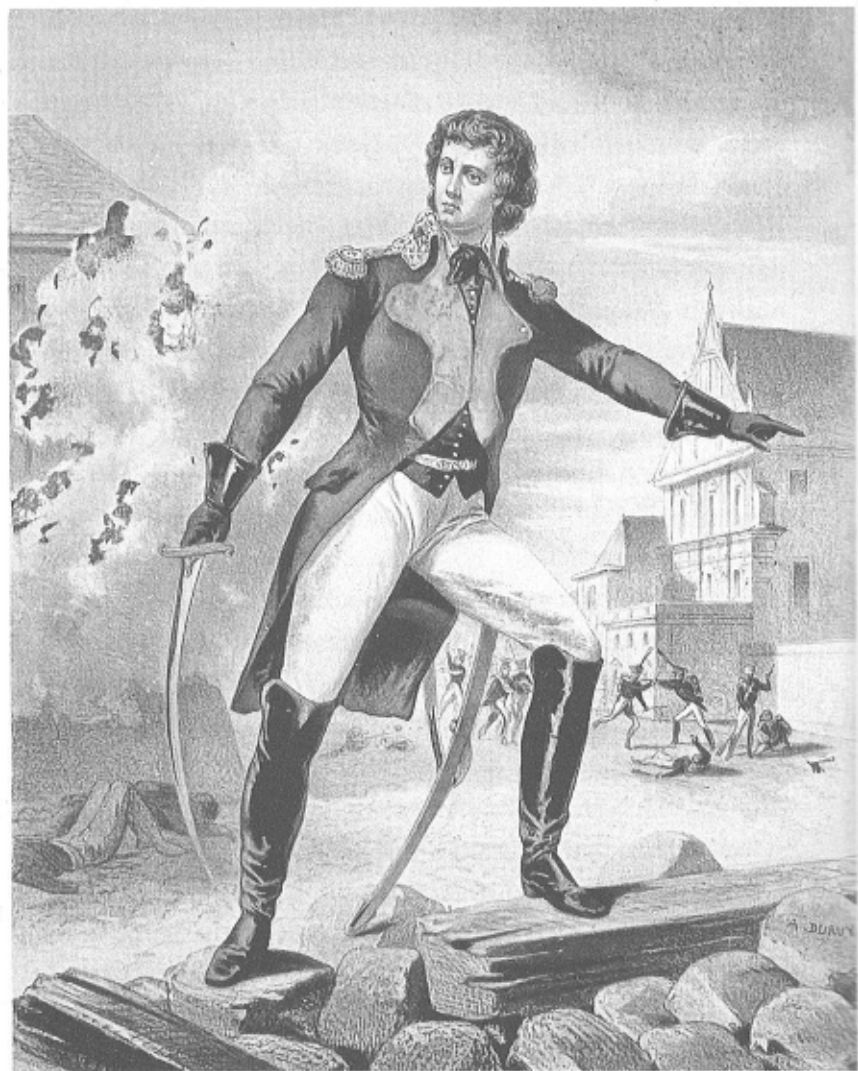
ani wspomagającemu go hetmanowi wielkiemu litewskiemu Szymonowi Kossakowskiemu, jednemu z twórców targowicy. Ten ostatni wraz z bratem Józefem, biskupem wileńskim, należał do najbardziej znienawidzonych przez Litwinów carskich sługusów. Arseniew nie przyjął jego rady, aby zaatakować polskie oddziały rozlokowane wokół Wilna, a w samym mieście przeprowadzić zakrojone na szeroką skalę prewencyjne aresztowania. Nie przejął się również obawami dowódcy artylerii, majora Nikołaja Tuczkowa. Butny i nadmiernie pewny siebie komendant miał zapłacić za to wysoką cenę.

Plan opracowany przez Jasińskiego zakładał zaskoczenie głównego odwachu i zdobycie śródmieścia, natomiast przedmieścia miały zaatakować oddziały działające wokół miasta. Na ich czele stali brygadier Mikołaj Sulistrowski, szef jednego z regimentów Ksawery Niesiołowski i generał Romuald Giedroyc. Wszyscy trzej należeli do sprzysiężenia i byli sygnatariuszami „aktu związku w Szawlach uczynionego przez wojskowych” do obrony „wolności, równości i niepodległości”. Poszli zatem dalej niż Kościuszko, używając terminu „równość”. Wydarzeniom tym towarzyszyło obranie generała majora Antoniego Chlewińskiego „za przywódcę i naczelnika całej zbrojnej siły W. Ks. Litewskiego”. Dalsze wydarzenia sprawiły, że wybór ten pozostał jedynie na papierze i nie został potwierdzony później w żadnym oficjalnym akcie prawnym.

W nocy z 22 na 23 kwietnia spiskowcy wsparci przez ludność — łącznie 730 żołnierzy garnizonu mających do dyspozycji dwadzieścia armat (Rosjanie mieli ich dwu-

krotnie mniej) oraz nieco ponad 500 cywilów — ruszyli do walki, a już kilka godzin później Wilno było wolne. Rosjanie walczyli nad wyraz niechętnie, poddawali się setkami, do niewoli poszło ponad tysiąc oficerów i żołnierzy. Znalazł się wśród nich także Arseniew. Straty obu stron były zdumiewająco małe; powstańców zginęło niespełna dziesięciu, przeciwnik miał dwudziestu zabitych i tyluż rannych. Z miasta zdołały ująć jedynie niedobitki. Jedynym większym zagrożeniem okazał się Tuczko i jego artyleria, którą ustawił na Górze Bouffałowej i rozpoczął nękający mieszkańców wielogodzinny ostrzał. Wycofał się dopiero w godzinach południowych, wykurzony ze swoich stanowisk przez oddziały pod dowództwem podpułkownika Stefana Grabowskiego. Kossakowski dał się zaskoczyć powstańcom niczym nieporadne dziecko. Kat Litwy, pobladły ze strachu i ubrany jedynie w szlafrok, został wyciągnięty ze skrytki na strychu.

24 kwietnia, w atmosferze obawy o kontrofensywę Moskali, w Wilnie został ogłoszony *Akt powstania*. Powołano również Radę Najwyższą Litewską, która ustanowiła Jasińskiego komendantem armii litewskiej; osobę Chlewińskiego przemilczano. Litwini nie zamierzali się podporządkowywać władzom centralnym, Najwyższej Radzie Narodowej ani Najwyższemu Naczelnikowi — i wprost wskazali to we wspomnianym wyżej akcie. Decyzja ta nie może dziwić, jeśli zważyć wielowiekową walkę Wielkiego Księstwa o niezależność od Korony i podkreślanie w każdy możliwy sposób litewskiej odrębności. Jednak w obliczu wojny z Imperium Rosyjskim opisane posunięcie nie dawało najlepszych



Przywódcą insurekcji kościuszkowskiej
w Wilnie Jakub Jasiński,
grafika XIX-wieczna.

prognoz na przyszłość. Fakt, że chwilowo nieprzyjacielskie oddziały uległy rozbiciu i nie przejawiały chęci do walki, nie miał w tym względzie większego znaczenia. Było bowiem pewne, że okres łatwych sukcesów raczej szybko się skończy i Litwa, podobnie jak reszta Rzeczypospolitej, stanie przed poważnym militarnym wyzwaniem. Pierwszym zwiastunem przyszłych kłopotów stała się konsolidacja rozbitych wcześniej rosyjskich jednostek w obozie w Horodnicy, gdzie pod dowództwem generała majora Pawła Cycjanowa zebrano około 4 tysięcy żołnierzy dysponujących niemal 30 armatami. Cycjanow, komendant garnizonu grodzieńskiego, postanowił porozumieć się z pruskim dowództwem w Prusach Wschodnich i we współdziałaniu z wojskami drugiego z zaborców przeciąć na Niemnie połączenie pomiędzy insurekcją koronną i litewską.

Dzień po ogłoszeniu *Aktu powstania* utworzono Sąd Kryminalny. Pierwszą jego decyzją było skazanie na śmierć hetmana Kossakowskiego jako zdrajcę ojczyzny. Zawisł na szubienicy przy głośnych wiwatach licznie zgromadzonej gawiedzi. Jasiński miał stwierdzić przy tej okazji, że „wielkiego szelmę równie jak małego złodzieja powiesić można”.

Jasiński miał piastować swój urząd niespełna miesiąc. Nazbyt wielu wrogów przysporzył mu nadmierny i okazywany na każdym kroku radykalizm. Chciał, aby powstanie toczyło się z udziałem jak najszerzych mas ludowych na wzór rewolucji francuskiej, a głowy zdrajców spadały równie często jak nad Sekwaną. Ale akurat to nie podobało się wyższym oficerom i cywilom w otoczeniu generała, w którym było wielu przedstawicieli szlachty. Ona zaś

nawet nie starała się ukryć swojej niechęci do głównodowodzącego, który był gotów zamienić Wielkie Księstwo w jacobiniński bastion. Kurierzy niemal na wyścigi zawozili do Naczelnika prośby o pozbawienie Jasińskiego dowództwa nad armią litewską. Trafiły one na sprzyjający grunt. O ile przekonania polityczne i socjalne Jasińskiego były w wielu punktach zbieżne z tymi, jakim hołdował Kościuszko, to głoszony przez niego separatyzm Litwy był nie do przyjęcia i Naczelnik postanowił skorzystać z nadarżającej się okazji, aby z nim skończyć i w miejsce niepokornego generała postawić swojego zaufanego człowieka. 21 maja Jasiński został pozbawiony dowództwa, a dwa tygodnie później jego miejsce zajął generał Michał Wielhorski. Z czasem miało się co prawda okazać, że nie był to najlepszy wybór. Jednocześnie władze powstańcze zostały podporządkowane Radzie Najwyższej Narodowej, którą w końcu maja udało się Naczelnikowi zastąpić warszawską Radę Zastępczą Tymczasową, co kończyło proces koncentrowania przez Kościuszkę pełni rządów i kontroli nad insurekcją. Byli w błędzie jednak wszyscy ci, którzy sądzili, że rozżalony Jasiński będzie kontestował doznaną krzywdę i nie okaże lojalności swojemu następcy. Został dowódcą jednego z korpusów i zapisał chlubną kartę w działaniach na terenie Żmudzi i nad Narwią. A potem, już w końcówce insurekcji, położył za jej sprawę głowę.

Pierwszy kilkutygodniowy okres insurekcji przyniósł Polakom i Litwinom nieco sukcesów i objął walkami większą część okrojonego przez dwa rozbiory państwa. Rosjanie stracili ponad 6 tysięcy ludzi, trzy razy więcej niż wojska

Kościuszki, do których zewsząd garnęli się ochotnicy. Pozwalało to dość optymistycznie myśleć o powołaniu pod broń masy 300 tysięcy powstańców, co zapewniłoby im na tyle wystarczającą przewagę nad wrogiem, nie tylko Rosją, ale i Prusami, aby mieć nadzieję na końcowe zwycięstwo.

Broń — w poprzednim zdaniu słowo-klucz. To również jej miało w stopniu dramatycznym zabraknąć.